

#2. Witaj, drużyno!

AKADEMIA PIŁKARSKA



T.Z. LAYTON


CZYTALSEK

Tytuł oryginału: The Academy II: The Journey Continues
(The Academy #2)

Tłumaczenie: Marcin Kowalczyk

ISBN: 978-83-289-2780-3

Copyright © 2023, T.Z. Layton

Published by special arrangement with GryphonWorks LLC.
in conjunction with their duly appointed agent 2 Seas Literary
Agency and co-agent Graal Literary Agency.

Polish edition copyright © 2025 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Helion S.A.
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 230 98 63
e-mail: czytalisek@helion.pl
www.czytalisek.pl

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Z dziennika Lea K. Doyle'a

Uwaga dla Czytelników

Co, myślałeś, że moja historia skończyła się w momencie, w którym dostałem się do młodzieżowej drużyny Lewisham Knights?

Szczerze mówiąc, ja trochę tak właśnie myślałem.

W końcu Lewisham Knights to drużyna z Premier League. Byłem pewien, że moja przyszłość jest już jasno nakreślona. Za kilka lat dołączę do pierwszego składu i będę miał wszystko, o czym tylko mógłbym sobie zamarzyć. Mieszkałbym razem z kolegami z drużyny, kupiłbym tacie nowy samochód, dałbym pieniądze siostrze, żeby tylko nie zawracała mi głowy, wysłałbym ciocię Janice do opery czy czegoś podobnego, a swojej jaszczurce sprawiłbym nowe terrarium z wodospadem i karmiłbym ją najtłustszymi świerszczami.

Najważniejsze, że moje życie byłoby na maksa wypełnione piłką nożną. I to jaką! Piłką nożną na poziomie Premier League. Piłką nożną na poziomie Ligi Mistrzów. Piłką nożną na poziomie reprezentacji narodowej i mistrzostw świata!

Brzmi niesamowicie, prawda?

Tyle że nic z tych planów nie wyszło. Nic a nic.

Sprawa wygląda tak. Kontrakt z klubem Lewisham Knights był wielkim osiągnięciem, ale szybko zrozumiałem, że to dopiero pierwszy krok. Niczego jeszcze nie mogłem być pewien. Nic nie było łatwe. Przeciwnie, wejście do podstawowego składu drużyny

i gra w lidze — nie dorosłej, lecz Premier League do lat 14 — okazało się trudniejsza niż przejście przez letni obóz London Dragons. Teraz rywalizowałem z chłopakami, którzy albo grali już w drużynie od jakiegoś czasu, albo byli najlepszymi zawodnikami wybranymi spośród uczestników obozu letniego Rycerzy.

A to jeszcze nie wszystko. Mój nowy główny trener jest okropny i po przyjeździe do Lewisham czekała mnie spora niespodzianka. I to wcale nie miła. To było coś, co mogło przekreślić całą moją piłkarską karierę, i to nawet gdyby udało mi się dostać do podstawowego składu. Jeśli sytuacja szybko się nie zmieni, mogę wkrótce wrócić do Ohio, ze świadomością, że moje marzenia o tym, by pewnego dnia zostać zawodowym piłkarzem, pękają niczym bańka mydlana. Czasem to życie naprawdę dziwnie się układa, prawda?

Ale chyba za bardzo wybiegam do przodu. Wiem, że interesują Cię szczegóły. Na pewno chcesz wiedzieć, jak wygląda prawdziwa młodzieżowa drużyna Premier League, jak się w niej trenuje, jaki jest poziom rywalizacji, kim są moi koledzy z drużyny, jak wyglądają mecze, gdzie mieszkam i czy muszę chodzić do szkoły i uczyć się jak inne dzieciaki w moim wieku.

Podobnie jak poprzednio, nie znam zakończenia tej historii. Jestem w samym środku sezonu, walcząc o przetrwanie w drużynie i zastanawiając się, czy mam przed sobą przyszłość jako piłkarz.

No to zaczynamy. Gotowy? Wkrótce dotrzemy do Londynu, ale ta historia znów zaczyna się na boisku piłkarskim w moim rodzinnym mieście, w jeden z tych wspaniałych słonecznych dni pod koniec lata, które zdaje się nie mieć końca.

Tyle że teraz wszystko wygląda nieco inaczej...

Słodka zemsta

Mecz miał za chwilę się rozpocząć. Był to przedsezonowy sparing pomiędzy Bobrami z Middleton (moją dawną drużyną) a Tygrysami z Columbus (klubem notowanym w krajowym rankingu). Jako kapitan Bobrów zmierzałem właśnie do środkowego koła na losowanie.

Normalnie drużyna taka jak Tygrysy nie fatygowałaby się taki kawał drogi na mecz o pietruszkę z grupką dzieciaków z YMCA w Middleton w Ohio — znanym również jako Zadupie Totalne. Ale w zeszłym roku spotkaliśmy się z lidze. Powinniśmy byli przegrać sromotnie, lecz oni ledwo wygrali 3:2. Co to był za mecz — zdobyłem dwie bramki! I spudłowałem z karnego w ostatnich minutach...

Mimo że nie byłem w składzie Bobrów na jesienny sezon, trener Tygrysów wyraził zgodę na mój udział w sparingu. Ba, sam o to poprosił. Wszyscy chcieli zobaczyć, czy Leo K. Doyle, chłopak z zapadłej prowincji, który właśnie dostał się do młodzieżowej drużyny klubu z Premier League, naprawdę jest tak dobry.

Następnego dnia rano miałem polecieć do Londynu, by dołączyć do drużyny U-14 Lewisham Knights — Rycerzy z Lewisham. Szczerze mówiąc, wciąż nie mogłem w to uwierzyć. Marzenia chyba naprawdę się spełniają. Ale jak mawiała moja mama, nigdy nie ma tak, by wszystko było usłane samymi różami. To był mój ostatni mecz z moją lokalną drużyną i starymi kolegami.

Na niemal cały rok będę musiał pożegnać się z rodziną, przyjaciółmi i jaszczurką. Wiedziałem, że w Europie będzie czekała mnie ciężka przeprawa. Czułem się jednocześnie zdenerwowany, podekscytowany i przytłoczony.

Ale tym będę się martwić później.

Teraz miałem do rozegrania mecz.

Sędzia — nauczycielka gry na fortepianie mojej siostry — już trzymała ćwierćdolarówkę w prawej dłoni.

— Leo, jesteś kapitanem gospodarzy. Orzeł czy reszka? — zapytała.

— Orzeł.

Podrzuciła monetę. Wypadła reszka.

Ronnie Lewis, kapitan Tygrysów, uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Wybieram piłkę. Szykuj się na kolejną porażkę, Leo.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnąłem.

Tygrysy grały trzema obrońcami. Ronnie był środkowym obrońcą, jednym z najlepszych w całym stanie. Miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, puszczał mu się już wąs i był waleczny jak osaczony tygrys.

— Myślisz, że jesteś taki ważny, co? — rzucił zaczepnie. — Pamiętasz nasz ostatni mecz? Runąłeś na ziemię jak długi.

— Pamiętam, że założyłem ci siatkę. I to piętą. A dopiero potem mnie przewróciłeś.

— Zaskoczyłeś mnie wtedy. To się już nie powtórzy — warknął Ronnie i zrobił krok do przodu. — Nie wiem, co ci trenerzy w tobie widzą, ale zaraz sprowadzimy cię na ziemię. Przyda ci się nauczka.

Spojrzałem na niego hardo.

— Nie zamierzam strzepić języka. Grą pokażę ci, na co mnie stać.

— Chłopcy — powiedziała sędzia surowym tonem. — Grajcie fair. — Dmuchnęła w gwizdek i machnęła ręką w stronę linii bocznej. — Zaczynajmy!

Przez dłuższą chwilę nie mogliśmy przejąć piłki. Cofnąłem się głębiej do pomocy niż zwykle, żeby pomóc chłopakom przetrwać tę pierwszą nawałę. Musiałem przyznać, że Tygrysy były naprawdę dobre.

Ale przecież ja miałem za sobą całe lato, podczas którego trenowałem dzień i noc, sprawdzając swoje umiejętności w konfrontacji z jednymi z najlepszych młodych zawodników na świecie.

Tygrysy atakowały. Po jednym ze strzałów z dystansu piłka odbiła się od słupka i spadła pod nogi naszego lewego obrońcy, który spanikował i wybił ją daleko przed siebie. Kopnął na oślep, ale dotarła do Dennisa, naszego środkowego pomocnika. Jeden z obrońców Tygrysów natychmiast ruszył w jego stronę.

— Na prawą! — krzyknąłem.

Jakimś cudem Dennis zdążył z podaniem. Wyprzedzałem obrońcę zaledwie o krok. Tuż przed nieuchronnym zderzeniem z masywnym chłopakiem odwróciłem się plecami i okręciłem wokół niego z piłką przyklejoną do nóg. Mój trik wywołał okrzyki zachwytu wśród widzów.

Teraz miałem trochę przestrzeni. Ruszyłem z piłką do przodu, lustrując boisko niczym generał pole bitwy. Byłem sam na sam z obrońcami. Pewnie powinienem zaczekać na kolegów z drużyny, ale słowa Ronniego wciąż dźwięczały mi w uszach: „Sprowadzimy cię na ziemię”.

Nie podobała mi się ta groźba, podobnie jak ten jego głupi wąsik i to, że oni najwyraźniej uważali się za lepszych od nas. No dobra, faktycznie *byli* lepsi piłkarsko od każdego z nas... oprócz mnie. Ale to nie dawało im prawa do tego, żeby zachowywali się jak ostatnie dupki.

Ktoś tu rzeczywiście za chwilę dostanie nauczkę — pomyślałem.

Ale to nie będę ja.

Ich lewy obrońca ruszył na mnie pierwszy. Zrobiłem zwód, przez co się zawahał i zwolnił, a ja wtedy kopnąłem piłkę przed siebie i przebiegłem obok niego. Byłem o wiele szybszy i zostawiłem go daleko w tyle.

Teraz musiałem rozprawić się z Ronniem. Pomimo swojej szybkości nie mogłem być pewien, czy dałbym radę pokonać go w sprincie. Ronnie był przecież prawie dwa lata starszy i znacznie większy ode mnie. Mogłoby mi się udać wygrać ten wyścig, ale miałem inne pomysły. Sporo pomysłów.

Ronnie już się zbliżał. Ciężko oddychał i mocno się pocił, przez co śmierdział jak worek pełen brudnych ciuchów. Wiedziałem, że zamierza wejść na mnie ciałem i po prostu odepchnąć od piłki. Był pewien, że brakuje mi i szybkości, i techniki, aby pokonać go w pojedynku jeden na jednego.

Wypuściłem piłkę trochę dalej przed siebie, żeby go sprowokować. Połknął haczyk. Rzucił się na piłkę, a wtedy ja cofnąłem ją, wytrącając Ronniego z równowagi. Już wtedy mogłem go minąć bez trudu, ale zacząłem się z nim bawić, przerzucając piłkę z nogi na nogę, to cofając ją, to wysuwając nieco do przodu, zawsze jednak poza jego zasięgiem. Za plecami słyszałem okrzyki zachwytu kibiców. A Ronnie zaczynał się już frustrować. Próbował złapać mnie za koszulkę, ale udawało mi się odpychać jego rękę i trzymać się na dystans. Kiedy poczułem, że kolejni obrońcy są coraz bliżej, założyłem mu siatkę — tak jak w poprzednim meczu — i ruszyłem do przodu, żeby przejąć piłkę z drugiej strony.

Tym razem Ronnie nie podstawił mi nogi, lecz mocno pchnął mnie w plecy. Zachwiałem się. Jeszcze na początku lata, przed

obożem akademii piłkarskiej Smoków, po takim zagranu z pewnością wylądowałbym twarzą w trawie.

Ale w Londynie nie tylko poprawiłem umiejętności techniczne. Nabrałem też więcej siły i sprytu. Spodziewając się ataku, obniżyłem środek ciężkości, jeszcze zanim mnie popchnął. Mało brakowało, ale zdołałem utrzymać równowagę i ruszyłem sprintem do przodu.

Teraz miałem przed sobą już tylko bramkarza. Kątem oka zauważyłem, jak sędzia opuszcza gwizdek, dając mi przywilej korzyści i pozwalając kontynuować akcję.

Bramkarz Tygrysów nie miał innego wyjścia jak tylko wybiec mi na spotkanie. Odprowadziłem piłkę w bok, by zrobić sobie dogodny kąt do strzału, po czym spokojnie posłałem ją do siatki.

Sędzia gwizdnęła i wskazała na środek boiska.

1:0.

Koledzy z drużyny rzucili się na mnie, a nasi rodzice zebrani na trybunach oszaleli z radości. Nawet rodzice Tygrysów bili brawo. Zanim pobiegłem z powrotem, odwróciłem się i mrugnąłem do Ronniego. Spuścił głowę i odwrócił wzrok.

Pokazałem, na co mnie stać, ale po tym użądleniu Tygrysy zmieniły strategię. Ich trener zmienił ustawienie i od tej pory bez przerwy kryło mnie dwóch lub trzech przeciwników. To dawało nam przewagę liczebną na reszcie boiska, ale i tak mieliśmy problem z przełamaniem ich obrony.

No a tuż przed przerwą Tygrysom udało się zdobyć wyrównującą bramkę. 1:1. W przerwie nasz trener zebrał nas w kółko, zatarł ręce i powiedział:

— Leo, musisz strzelić więcej goli.

Billy Hood przewrócił oczami, jakby chciał powiedzieć: „No co trener nie powie”.

— Postawmy na szybkie kontrataki — polecił trener — i zasłony, żeby uwolnić Lea.

Musiałem się powstrzymać od śmiechu. Nasz trener miał dobre intencje, ale specjalizował się w koszykówce i tak naprawdę nie miał pojęcia o piłce nożnej.

— Zasłony sprawdzają się tylko w koszu — powiedziałem. — Oni mnie kryją podwójnie, czasem nawet potrójnie. Musimy dostarczyć piłkę do niekrytych zawodników. Zagrajmy ustawieniem 4-4-1-1, ze mną jako wabikiem za „dziewiątką”, i wykorzystajmy skrzydłowych do rozszerzenia pola gry.

Trener zamrugał dwukrotnie, wyraźnie nie rozumiejąc ani słowa z tego, co powiedziałem. Ale gdy rozległ się gwizdek na rozpoczęcie drugiej połowy meczu, klasnął w dłonie dwa razy.

— Róbcie to, co powiedział Leo! Dalej, Bobry, do boju!

Żaden z moich kolegów z drużyny też nie za bardzo kminił takie zaawansowane strategie, więc w drugiej połowie niewiele się zmieniło. Na dziesięć minut przed końcem udało mi się zdobyć kolejnego gola po świetnym podaniu od Dennisa, ale Tygrysy szybko odpowiedziały tym samym, ponownie doprowadzając do wyrównania. Tuż przed końcowym gwizdkiem wreszcie uwolniłem się spod podwójnego krycia i otrzymałem podanie w narożniku. Zamarkowałem dośrodkowanie, ale zwodem minąłem obrońcę i ruszyłem prosto na bramkę. Gdy dotarłem do pola karnego i przygotowywałem się już do ścięcia do środka i strzału, Ronnie podbiegł i złapał mnie w pasie. Nawet nie próbował odebrać mi piłki. Nie zrobił mi żadnej krzywdy, ale to był ewidentny faul. Kibice zaczęli buczeć.

— Karny! — krzyknęła sędzia, pokazując Ronniemu czerwony kartonik. — To tylko mecz towarzyski, synu. Czy to naprawdę było konieczne?

Ronnie uśmiechnął się do mnie złośliwie, po czym bez słowa protestu zbiegł z boiska, stawiając mnie w identycznej sytuacji jak rok wcześniej: rzut karny w ostatniej sekundzie, który miał zadecydować o wyniku meczu. Byłem pewien, iż liczył na to, że i tym razem nie uniosę tego ciężaru odpowiedzialności.

Ale ja nie musiałem już niczego udowadniać — a już na pewno nie musiałem niczego udowadniać Tygrysom. Próbowałem nawet namówić któregoś z kolegów do wykonania tego karnego, ale wszyscy chcieli, żebym to ja strzelał.

— Chcemy wygrać — powiedział Dennis. — Tylko ty możesz to zrobić.

Rozumiałem ich. Tu przecież chodziło o honor. Bobry z Middleton zasługiwały na zwycięstwo, które zapewniłoby im miejsce w historii.

Gdy ustawiałem piłkę na jedenastym metrze, niektórzy piłkarze Tygrysów próbowali mnie zdekoncentrować, przypominając o karnym, który na początku lata posłałem w poprzeczkę. Gdyby nie doświadczenia z Londynu, być może by im się to udało i nerwy wpłynęłyby na jakość mojego strzału.

Ale jak już wspomniałem, teraz wszystko było inaczej. Niecały miesiąc temu strzeliłem zwycięskiego gola na Dragon Stadium, oficjalnym stadionie londyńskich Smoków, w finale turnieju organizowanego na zakończenie obozu letniego. Zrobiłem to przy niemal pełnych trybunach, na oczach kibiców, skautów i zawodowych piłkarzy.

Sędzia zagwizdała. Bramkarz Tygrysów przykucnął i szeroko rozłożył ręce.

A ja podbiegłem i zdobyłem zwycięską bramkę, posławszy piłkę w samo okienko.

Obietnice, niespodzianki i początek nowej podróży

Pół godziny później jadłem burrito w Moe's z dwoma najlepszymi kumplami, Dennisem i Carlosem. Mój tata podrzucił nas po meczu i dał nam nawet pieniądze na lunch. Nigdy wcześniej tego nie robił. Chyba uznał, że skoro mogłem spędzić sam całe lato w Londynie, to pewnie dam sobie radę w restauracji z przyjaciółmi w Middleton.

— Jesteś teraz legendą — powiedział z podziwem Dennis. — Dzięki tobie pokonaliśmy Tygrysy z Columbus!

— No weź — skrzywił się Carlos — nie pompujmy go jeszcze bardziej. Zobacz, jaki już jest nadęty. Jeszcze zaraz nam tu pięknie i zepsuje burrito. Mnie się zdaje, że zawodnik z Premier League chyba *powinien* potrafić strzelić gola grupce chłopaków z Ohio.

— Ja też jestem dzieciakiem z Ohio — przypomniałem trzeźwo.

Carlos pochłonął wołowe taco w trzech kęsach.

— Przecież wiesz, o co mi chodzi. I wiesz, że jestem od ciebie lepszy. A przynajmniej będę za rok. Jak tylko zacznę rosnąć.

— Oczywiście, że jesteś — powiedziałem z poważną miną. — Poza tym ja jeszcze nie gram w Premier League. Jestem tylko w lidze młodzików.

— Ale niedługo będziesz grał w prawdziwej lidze. — Carlos wycelował we mnie palcem. — Nie spartol tego, Leo. Jak już tam się znajdziesz, musisz opowiedzieć o mnie wszystkim trenerom.

Dennis podniósł ręce do góry, aż odrobina sosu serowego spadła mu z nachos prosto na jego marchewkowe włosy.

— Hej! A co ze mną? — zawołał.

Carlos przewrócił oczami.

— Ty nie trafiłbyś do pustej bramki z dziesięciu metrów. Zawsze znajdziesz jakiś sposób, by spudłować. Albo jakaś przełatująca wrona zablokowałaby twój strzał.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Dennis przez chwilę siedział urażony z nadąsaną miną, ale po chwili też się roześmiał. Wiedział, że to prawda. Był całkiem niezłym pomocnikiem, ale dla niego bramka była jak piękna dziewczyna. Jakby go paraliżowała. W jej pobliżu stawał się niezdarny i zawsze robił coś głupiego.

— Ale nie martw się. Pozwolimy ci do nas dołączyć — kontynuował Carlos. — Będziesz zajmował się naszym domem. Dbal, żebyśmy mieli najnowsze gry wideo, a lodówka była pełna pizzy, chipsów i doctora peppera.

Ja i Carlos mieliśmy te same priorytety w życiu.

— Mówcie, co chcecie — odpowiedział Dennis, kończąc dip serowy i przechodząc do drugiego burrito. Naprawdę miał spust. — Ale on w jednym ma rację, Leo: nie możesz zmarnować takiej szansy. Nie chcemy tu utknąć na całe życie. Musisz nas zabrać ze sobą, gdy będziesz już bogaty i sławny.

Zmarszczyłem brwi.

— A co jest nie tak z Middleton? Mnie się tutaj podoba. Nie obchodzi mnie, czy zagram w Premier League, czy nie. Równie dobrze mogę wrócić tu i spędzać cały dzień z wami, dwoma nerdami. Wszystko samo się jakoś ułoży.

— Kłamca — rzucił Carlos. — Nie obchodzi cię Premier League? Znam cię już trochę i mówię, że ci nie wierzę.

Odwróciłem głowę w bok, bo nie podobał mi się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa. Staralem się *nie* myśleć o presji, która na mnie ciążyła, ani o tym, co się stanie, jeśli zawiodę. Próbowalem też odpędzić od siebie myśl, że następnego dnia opuszczę swoich dwóch najlepszych kumpli i nie zobaczę ich przez długie miesiące.

Ale to nie był moment na smutek — w tej chwili chciałem się cieszyć ze zwycięstwa nad Tygrysami i myśleć, że moja przyszłość w Rycerzach z Lewisham jest obiecująca i faktycznie ta droga *zaprowadzi* mnie do Premier League.

— Dobra — przyznałem. — Masz rację. Zależy mi i chcę wejść do świata zawodowej piłki. Pewnego dnia będziemy we trzech grać w jednej drużynie, podróżować po świecie i występować na wszystkich tych słynnych stadionach.

— Rany, nie musisz *aż tak* przesadzać — zmiętygował mnie Carlos. — Przecież obaj wiemy, że Dennis będzie tylko naszym służącym. Ale teraz już lepiej, Leo. Widzisz? Trzymaj się mnie, a będzie ci dobrze w życiu. Zapamiętaj to sobie.



Resztę popołudnia spędziłem z przyjaciółmi. Kiedy wróciłem do domu, ciocia Janice i tata byli w kuchni i przygotowywali spaghetti z klopsikami. Przywitałem się z nimi i poszedłem do swojego pokoju. Messi, moja jaszczurka — agama brodata — przechadzał się tam i z powrotem po terrarium. Zamiast dać mu suchą karmę ze sklepu zoologicznego, pokroiłem trochę sałaty i jabłka, dodałem kilka żywych robaków i podałem mu to wszystko na talerzyku.

Gdy Messi pożerał swój ulubiony posiłek, uświadomiłem sobie, ile czasu minie, zanim znów go zobaczę, i zrobiło mi się smutno. Miesiąc przed swoją śmiercią mama namówiła tatę, żeby kupił mi Messiego. To był ostatni prezent, jaki od niej dostałem, dlatego Messi był dla mnie ważny.

To był wspaniały dzień. Nie mogłem sobie wyobrazić, że nie zobaczę przyjaciół przez najbliższe dziewięć miesięcy. Owszem, podczas obozu w Akademii Smoków znalazłem sobie kilku nowych fajnych kumpli. Szczególnie brakowało mi Alejandra. Wiedziałem jednak, że żadnego z nich nie spotkam w drużynie Rycerzy, a poza tym przyjaciele z dzieciństwa, tacy jak Dennis i Carlos, to przyjaciele z dzieciństwa.

Czy naprawdę chciałem to zrobić? Zostawić całe swoje dotychczasowe życie i wyjechać do odległego kraju z dziwnym jedzeniem, dziwnymi zwyczajami i ludźmi mówiącymi z dziwnym akcentem? Czy oni w ogóle obchodzą tam Halloween, Święto Dziękczynienia albo Boże Narodzenie?

Messi nagle przestał jeść i stanął na tylnych łapach, a jego fałd skórny pod brodą nadał się, co u tego gatunku jest oznaką rozdrażnienia.

— Uspokój się — powiedziałem. — Wiem, wiem, *oczywiście*, że pojadę. Jestem mega podekscytowany. Ale jest mi też trochę smutno. To chyba normalne, nie?

Jego fałd skórny się skurczył i Messi wrócił do jedzenia. Chyba nie interesowały go moje sprzeczne emocje. Chciał tylko mieć pewność, że będę podążał za głosem swojej wewnętrznej walecznej jaszczurki.

Pochyliłem się, żeby Messi mógł zajrzeć mi w oczy.

— Tata i Ginny będą się tobą dobrze opiekować, kiedy mnie nie będzie. A jak tylko zarobię wystarczająco dużo pieniędzy, poproszę tatę, żeby wysłał cię do mnie do Anglii.

Messi spojrzał na mnie bystrymi oczkami. Widziałem, że znów jest poirytowany. Nie lubił, gdy składałem obietnice. Dla niego liczyły się czyny, nie słowa.

Drzwi się otworzyły i Ginny wsunęła głowę do środka.

— Kolacja gotowa.

— Mówiłem ci, że masz pukać!

Pokazała mi język i poszła sobie, nawet nie zamknąwszy za sobą drzwi. Jak można być takim irytującym? Umyłem się, poszedłem do jadalni i... aż otworzyłem usta ze zdziwienia. Cały pokój udekorowany był balonami i serpentynami, a na środku wisiał ogromny plakat z napisem: POWODZENIA, LEO! BĘDZIEMY ZA TOBĄ TĘSKNIĆ!

— Twoje ulubione danie — powiedziała ciocia Janice. — Spaghetti z klopsikami i chlebem czosnkowym.

— Przepis mamy — dodał tata, a w jego głosie słychać było wzruszenie.

Dokładniej rzecz ujmując, moim faworytem są naleśniki bananowe, potem pizza, ale spaghetti z klopsikami to chyba faktycznie najsmaczniejsze danie obiadowe.

— No i jak tam? — zapytał tata, gdy wreszcie uszy przestały mi się trząść od pałaszowania. — Gotowy na jutrzejszy wyjazd? Wszystko masz spakowane?

— Tak.

— Skarpetki, bielizna, kurtka przeciwdeszczowa, dużo ciepłych ubrań? Wiesz, że tam może być zimno.

— Nie tak zimno jak tutaj w zimie — zauważyła ciocia Janice. — W Londynie rzadko pada śnieg. Wielka Brytania to wyspa, a ocean ma łagodzący wpływ na pogodę.

Ciocia Janice wiedziała dużo o wszystkim.

— Hmm — mruknął tata. — Człowiek każdego dnia dowiaduje się czegoś nowego. Ja zawsze wyobrażałem sobie, że to zimny i deszczowy kraj.

— No bo taki jest — przyznała. — Po prostu nie ma tam ekstremalnych upałów i mrozów. Ale tak, Leo, przygotuj się na dużo chłodnych, szarych i wilgotnych dni.

Szczerze mówiąc, nie przejmowałem się zbyt pogodą. Nie rozumiem, dlaczego dorośli zawsze tyle o niej rozmawiają. Może po prostu nie potrafią wymyślić żadnych ciekawszych tematów.

— Gdzie będziesz mieszkać? — zapytała Ginny.

— W zamku z królową — odpowiedziałem. — Tam mieszkają wszyscy piłkarze.

Otworzyła szeroko oczy.

— Naprawdę?

Ginny uwierzyłaby we wszystko.

— No jasne. — Nie przedstawiałem jej wkręcać. — Ze smokami, jednorożcami, trollami i syrenami. Nawet kilkoma półbogami.

— Leo... — rzucił ojciec, gromiąc mnie wzrokiem.

Wzruszyłem ramionami i ugryzłem kawałek chleba czosnkowego.

— Tak naprawdę to nie wiem. Chyba z kolegami z zespołu.

— Znowu będziesz mieszkał w internacie — oznajmił tata. — Ale tym razem będziesz miał własny pokój.

— A, to dobrze.

A może jednak nie? Choć mój współlokator na obozie letnim, Robbie, czasami działał mi na nerwy, to był w porządku i miło było mieć *kogoś* znajomego od samego początku. Czy znowu uda mi się zawrzeć jakieś nowe przyjaźnie? A może się okaże, że wszyscy Rycerze to idioci lubiący wyżywać się na nowych kolegach? Albo są tacy jak Diego — śmiertelnie poważni i nieskorzy do zabawy?

Po kolacji i deserze — cieście czekoladowym z kremem waniliowym — tata objął mnie ramieniem i wyszedł ze mną na werandę. Rozpaliliśmy ogień w kominku, usiedliśmy na drewnianych fotelach i wsłuchaliśmy się w dźwięk cykad w drzewach.

— Dziś podczas posiłku byłeś trochę przygaszony — zauważył tata. — Na pewno wszystko w porządku? Czyżbyś już tęsknił za domem?

— Trochę — przyznałem.

— Rozumiem. Dziewięć miesięcy to naprawdę dużo. Mam jednak dobrą wiadomość: kupiłem ci bilet na Boże Narodzenie. Wrócisz do domu na święta i zostaniesz na cały miesiąc podczas przerwy świątecznej.

Chciałem zapytać, skąd miał na to pieniądze, ale wiedziałem, że to pytanie tylko by go zdenerwowało.

— Dzięki, tato. To świetnie! — powiedziałem z entuzjazmem.

— No ja myślę. I pamiętaj, że zawsze możesz do mnie zadzwonić, dobrze?

— Jasne. Mam tego świadomość.

— No, a teraz chyba zdajesz sobie sprawę, że pora na typową ojcowską poradę?

Zachichotałem.

— Tak.

— Postaram się być zwięzły. Więc tak: nie rozmawiaj z nieznajomymi, bądź uprzejmy dla wszystkich i zawsze zwracaj uwagę na swoje otoczenie, szczególnie w tak dużym mieście jak Londyn.

— Obiecuję.

— Kolejna rzecz: urządzenia elektroniczne. Masz przestrzegać tych samych limitów, które obowiązują cię tutaj. Choć szczerze mówiąc, tym nie martwię się zbytnio. Z rozmów z trenerami wynika, że będziesz bardzo zajęty. W szkole i na treningach.

Jeśli chodzi o twoją grę, moja rada jest taka sama jak ostatnio: po prostu wierz w siebie, baw się dobrze i daj z siebie wszystko. Masz zachowywać się tak, byś niczego potem nie musiał żałować, jasne?

— Umowa stoi, tato.

— Jestem z ciebie dumny, synu. Bardzo dumny. Nie tylko z twoich osiągnięć w piłce nożnej, ale również z tego, jakim stajesz się młodym człowiekiem. I wiem, że mama też byłaby z ciebie dumna.

Zamilkł na dłuższą chwilę i przełknął ślinę, zanim znów się odezwał:

— Jest jeszcze jedna rzecz. Tym razem lecis do Nowego Jorku, a dopiero stamtąd do Londynu. Przedstawiciel klubu, jeden z trenerów drużyn młodzieżowych, będzie się tobą opiekował. Ma miejsce obok ciebie w samolocie.

— O, super.

Przytulił mnie mocno.

— Uważaj na siebie, synu. Będę za tobą tęsknił.



Gdy następnego ranka stanąłem w końcu w kolejce do kontroli bezpieczeństwa na lotnisku w Columbus, miałem wrażenie, że tata i ciocia Janice wyprzytulali mnie już chyba po sto razy. Od tych wszystkich uścisków już mnie wszystko zaczynało boleć. Nawet Ginny podbiegła w ostatniej chwili, żeby mnie uściskać. Postanowiłem tym razem darować jej życie.

Tata odprowadził mnie do samej bramki. Wszystko działało się tak szybko i zanim się zorientowałem, już się z nim żegnałem i wchodziłem do samolotu z plecakiem i butelką wody.

Lot do Nowego Jorku trwał zaledwie kilka godzin. Nawet nie zdążyłem obejrzeć filmu do końca. Ponieważ miałem status „małoletniej osoby podróżującej bez opieki”, musiałem wyjść z samolotu w towarzystwie stewardesy, a na kolejny lot czekałem w specjalnym pomieszczeniu. Nie byłem tam sam, ale wszystkie inne dzieci były ode mnie sporo młodsze, do tego na półkach stały zabawki i układanki, więc miałem wrażenie, że jestem w przedszkolu. Dowiedziałem się jednak, że nie mogę samodzielnie poruszać się po lotnisku, dopóki nie skończę czternastu lat.

W końcu jednak ogłoszono mój lot i zaprowadzono mnie do bramki. W kolejce stały setki ludzi, ale byłem jedynym dzieckiem podróżującym samodzielnie. Akcenty stewardes przywołały wspomnienia z lata i Akademii. Przypomniałem sobie, jak w samolocie poznałem Tiga, i poczułem smutek, wiedząc, że tym razem go ze mną nie będzie. Nie chciałem siedzieć tyle czasu obok jakiegoś nudnego trenera. Pewnie przez siedem godzin będzie głądzić tylko o pogodzie. W końcu wszedłem do samolotu. Miałem miejsce przy przejściu, prawie przy samym ogonie. Usadowiłem się wygodnie, wyjąłem telefon i słuchawki, a plecak wsunąłem pod siedzenie.

— Przepraszam — odezwała się kobieta stojąca w przejściu. — Mam miejsce obok ciebie.

Głos wydawał się znajomy, ale ja już słuchałem muzyki i nawet nie podniosłem głowy. Dopiero gdy wstałem, żeby ją przepuścić, zauważyłem, że to wysportowana młoda kobieta o długich brązowych włosach i zielonych oczach, z figlarnym uśmiechem na twarzy.

Nie mogłem uwierzyć, kto to był.

— Cześć, Leo. To długi lot i naprawdę mam nadzieję, że nie chrapiesz — dodała.

— Pani trenerka! — wykrzyknąłem.

To była Samantha!

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

TU NIC NIE JEST ŁATWE. WSTAWAJ I WALCZ DO KOŃCA!

Niezwykła opowieść o pasji do futbolu, spełnianiu marzeń i walce do ostatniej sekundy

Pamiętasz mnie, prawda? To ja, Leo K. Doyle, zwyczajny chłopak z małego miasteczka, a obecnie gracz młodzieżowej drużyny Lewisham Knights. Brzmi jak spełnienie marzeń? A to dopiero pierwszy krok i niczego nie mogę być pewien. Wejście do podstawowego składu i gra w Premier League do lat 14 to niełatwe zadanie. Muszę być lepszy od kolegów, którzy są naprawdę nieźli.

Dodatkowo nowy trener jest okropny. W drużynie też nie dzieje się dobrze. W rzeczywistości moja sytuacja wcale nie jest ciekawa. Myślałem, że za kilka lat moje życie będzie wypełnione piłką nożną na mistrzowskim poziomie, a musisz wiedzieć, że w Anglii futbol to niemal religia. I teraz się okazuje, że z moich marzeń i planów może nic nie wyjść.

Nadal nie wiem, jak ta historia się zakończy. Jestem w samym środku sezonu, walczę o przetrwanie w drużynie i zastanawiam się, czy mam przed sobą przyszłość jako piłkarz. Chcesz wiedzieć, co będzie dalej? Zapraszam Cię w niezwykłą podróż do mojego świata pełnego piłki nożnej. To jak, zaczynamy?

T.Z. LAYTON to w rzeczywistości Layton Green, uznany autor bestsellerów, który pod tym pseudonimem pisze książki dla młodzieży. Prywatnie jest ojcem, trenerem młodzieżowej drużyny piłkarskiej, byłym zawodnikiem drużyny uniwersyteckiej i zagorzałym entuzjastą tej pięknej gry.



cena: 44,90 zł